

FREDRIK
BACKMAN

MOI PRZYJACIELE

PRZEŁOŻYŁA ANNA KICKA

MARGINESY

Mina vänner

COPYRIGHT © 2025 BY Fredrik Backman

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Kicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2026

Dla każdego młodego człowieka, który chce tworzyć.
Twórz!

Świat często jest nieżyczliwy nowym talentom, nowym kreacjom.
Nowość potrzebuje przyjaciół.

ANTON EGO

Louisa jest nastolatką, a więc najlepszym rodzajem człowieka. Dowodów na to nie trzeba długo szukać: małe dzieci uważają nastolatków za najlepszych ludzi, nastolatki uważają nastolatków za najlepszych ludzi, a jedynymi, którzy nie uważają ich za najlepszych ludzi, są dorośli. A to dlatego, że dorośli to najgorsi ludzie.

To jeden z ostatnich dni przed Wielkanocą. Za chwilę Louise wyrzucą z aukcji dzieł sztuki pod zarzutem zniszczenia drogiego obrazu. Bogate baby podniosą raban i zjawi się policja, a tego naprawdę nie było w planach. Nie żeby się chwalić, ale Louisa miała perfekcyjny plan, i to nie wina planu, że Louisa się go nie trzyma. Czasami bowiem Louisa jest geniuszką, ale równie często nią nie jest. Problem w tym, że geniuszka i niegeniuszka mają wspólny mózg. Ale plan sam w sobie? Perfekcyjny.

Na aukcję przyjechali niemożebnie wręcz bogaci ludzie, by kupić cholernie drogie dzieła sztuki, więc nastolatki nie są tam mile widziane, zwłaszcza nastolatki z plecakami pełnymi puszek ze sprejem. Bogaci naoglądali się stanowczo zbyt wielu wiadomości o „aktywistach”, którzy wtargnęli na wystawy i zniszczyli znane obrazy, dlatego też wejścia na aukcję strzeże sto pięćdziesiąt kilo strażnika, który nie ma w sobie ani grama poczucia humoru. To strażnik z takimi mięśniami, które nie mają nawet łacińskich nazw, bo w czasach, gdy ludzie mówili łaciną, nie było jeszcze tak wielkich idiotów. To jednak nie problem, bo zgodnie z planem Louisa miała się dostać do środka tak, by strażnik nawet jej nie zauważył. Jediną wadą tego planu było to, że to właśnie Louisa miała go wykonać.

Trzeba jednak przyznać, że wszystko zaczęło się całkiem dobrze, ponieważ aukcja odbywała się w budynku dawnego kościoła. Łatwo się było domyślić, bo wszyscy zgromadzeni na niej bogacze wciąż powtarzali do siebie: „Wiecie państwo, że to dawny kościół?”. Bogacze uwielbiają wręcz przypominać wszystkim wokół o tym, jacy są bogaci, tak bogaci, że mogą coś kupić od samego Boga.

Za kilka dni, w Wielkanoc, żadnemu z nich Bóg nie przyjdzie już nawet do głowy, bo nie będzie miał dla nich niczego interesującego na sprzedaż. W Bogu najlepsze jest jednak to, że rozumie potrzeby zwykłych ludzi, dlatego w kościołach zawsze są toalety. I właśnie przez okno jednej z nich Louisa dostała się do środka. Całkowicie zgodnie z planem. Nauczyła ją tego jej kumpelka, Rybka. Rybka jest najlepsza we wszystkim, na przykład w gubieniu rzeczy albo niszczeniu ich, ale najnajlepsza jest we włamywaniu się do różnych miejsc. A Louisa? Jej słabo idzie prawie wszystko, poza wkurzaniem się. Nie żeby się chwalić, ale w tym jest mistrzynią pierwszej klasy. Szczególnie wkurzają ją bogaci ludzie kupujący dzieła sztuki, bo bogaci są najgorszym rodzajem dorosłych, a najgorszym sposobem, by zniszczyć dzieło sztuki, jest zawieszenie na nim pieprzonej metki z ceną. To dlatego bogacze nienawidzą tego, co Louisa maluje na ścianach budynków – nie dlatego, że tak bardzo zależy im na samych budynkach, ale dlatego, że nie potrafią się pogodzić z tym, że piękne rzeczy mogą być też za darmo.

Louisa dostała się do środka z perfekcyjnym planem i plecakiem wypełnionym puszkami ze sprejem. W toalecie zatrzymała się jeszcze na chwilę, by na jednej ze ścian namalować niezwykle realistyczny portret strażników. Jakiś przeciętny artysta sportretowałby ich zapewne jako byki, z karkami tak olbrzymimi, że nikonęłaby w nich cała szyja, ale to nie w stylu Louisy. Ona od razu dostrzeża w ludziach ich wnętrze, namalowała ich zatem jako meduzy, ponieważ te – zupełnie jak strażnicy – nie mają ani kręgosłupa, ani mózgu.

Potem włożyła białą koszulę i wmieszała się w tłum.

Trzeba powiedzieć, że Louisa nie lubi w sobie wielu rzeczy, najbardziej jednak wzrostu i wagi. W dzieciństwie jej największym marze-

niem było, żeby być mniejszą. Nie lubi swojego ciała, bo jest go za dużo, nie lubi swojego głosu, bo jest zbyt niski, nie lubi swojego mózgu, bo zawsze każe jej paplać, gdy jest podenerwowana. Ale przede wszystkim nie lubi swojego serca, bo ono zawsze jest podenerwowane. Głupie, głupie serce.

Jeśli spojrzeć na to w ten sposób, aż dziw, że nikt nie zwrócił na nią uwagi, gdy wchodziła do budynku, trzeba jednak przyznać, że bogaci dorosli prawie nigdy nie zwracają uwagi na nic poza lustrami. Na ścianach wiszą drogocenne obrazy, jeden bardziej spektakularny od drugiego, a w pomieszczeniu kręci się pełno ludzi próbujących dostrzec swoje fryzury w kieliszkach do szampana. Grupka zadowolonych kobiet robi zdjęcie, nie obrazów, tylko sobie nawzajem. Obok mężczyźni z poważnymi minami rozprawiają o swoich ulubionych obrazach, lecz nie w kategorii dzieł sztuki, a inwestycji, jakby oprawili w ramy banknoty. Chwilę później przechodzą do rozmowy o golfie, kobiety z kolei śmieją się w głos z czegoś fantastycznego, bo wszystko w ich życiu jest najlepsze, najcudowniejsze, i czy to nie fascynujące, że ten budynek to dawny kościół? Żadne z nich nie ma oczywiście odwagi porozmawiać o wiszących na ścianach obrazach, za bardzo się boją, że powiedzą coś nie tak, najpierw ktoś inny musi się wypowiedzieć, żeby reszta wiedziała, co się ma podobać. Jedna z kobiet wraca z toalety z przerażoną miną, bo ktoś namalował tam „graffiti”. W środku czuć jeszcze farbę, a ją już rozboleła głowa.

– Graffiti? To straszne! Toż to wandalizm! – krzyczy druga, a trzecia szepcze:

– Ale... myślicie państwo, że to część wystawy? Że to... dzieło sztuki?

Panika rozprzestrzenia się w grupie niczym wszawica na kolonii. Bo co, jeśli się mylą? Kobiety spieszą do rozprawiających o golfie mężczyzn, by zapytać, czy to też dzieło sztuki.

– Była na nim metka z ceną? – pyta jeden z nich.

Kobiety z ulgą potrząsają głowami i wybuchają śmiechem. Nie ma metki, nie ma dzieła sztuki, och, jak dobrze! Mężczyźni spo-

glądają na ściany i wracają do rozmowy o inwestycjach. Wskazują na jeden z obrazów, najlepszą inwestycję w całym kościele, i mówią: „ten z morzem”, tak jakby to było wszystko: że jest niebieski i drogi.

Wkurza się? Louisa naprawdę nie rozumie, jak tu się nie wkurzać.

Wokół zebranych kobiet i mężczyzn krążą kelnerzy w białych koszulach, serwując małe przekąski, ponieważ bogacze uwielbiają małe porcje. Wszystko ma być duże, poza podatkami i kanapeczkami. Nikt nie patrzy obsłudze w oczy, tak niewiele znaczą dla bogaczy, że żaden nawet nie reaguje na plecak, który jeden z kelnerów ma na sobie.

Louisa sprawnie lawiruje w tłumie, zachowując pełną kontrolę nad swoim ciałem. Gdy człowiek całe życie czuje, że jest za duży, szybko się uczy, jak nie wchodzić nikomu w drogę. Dopiero gdy dostrzeża obraz, którego szukała, wpada w panikę. Ogarnia ją niesamowite szczęście. Jest prawie pewna, że wszyscy zebrani słyszą, jak łomocze jej głupie, głupie serce. Przez chwilę stoi w bezruchu, czekając, aż ktoś powali ją na podłogę. Nikt jednak nie reaguje. Nie ma się co dziwić, dorośli już dawno zapomnieli, jak brzmi bicie serca.

Ten z morzem namalował światowej sławy artysta C. Jat. To najdroższy obraz na aukcji, więc każdy chce go mieć, lecz nie ze względu na to, co przedstawia, ale z uwagi na jego historię. Mówi się, że to pierwszy obraz namalowany przez C. Jata, gdy ten miał dopiero czternaście lat. Cudowne dziecko. Tak zaczęła się jego kariera. Mężczyźni rozprawiający o golfie mają to jednak gdzieś, o choczko opowiadając pijącym szampana kobietom, że obraz to przede wszystkim „cholernie dobra inwestycja” z całkowicie innych powodów. Ostatnio gazety rozpisują się o tym, że artysta jest narkomanem, podupadł na zdrowiu i już nie wychodzi z domu. Jeśli kupującemu się poszczęści, może nawet C. Jat niedługo umrze! Wtedy dopiero wartość obrazu poszybkuje w górę!

Wszyscy wybuchają śmiechem. Louisa zaciska pięści.

Obraz już jest drogi. Właściwie tak drogi, że rozwieszono przed nim aksamitną taśmę. Tak niesamowicie wyjątkowy, że jeśli jakiś biedak wzięłby głęboki wdech zbyt blisko niego, to obraz mógłby się wręcz poczuć urażony. Obok taśmy stoi wytapetowana diamentami babka ze spektakularnie niezadowoloną miną. Na jej obronę można dodać, że to pewnie jedyny możliwy wyraz jej twarzy, którą poddano tak wielu operacjom plastycznym, że teraz przypomina zbyt mocno zasznurowany trampek.

- To *Ten z morzem* - prycha zirytowana do męża, bo obraz jest mniejszy, niż się spodziewała. Biedaczka, pewnie zakładała, że morze jest większe.

Jej mąż, facet z zegarkiem wielkości żółwia i w spodniach tak obcisłych, że jego tyłek wygląda, jakby sam miał tyłek, nie raczy nawet spojrzeć na obraz, tylko od razu na tabliczkę obok informującą o cenie wywoławczej dzieła. Wygląda na zadowolonego, nie każdy może sobie pozwolić na tak drogi obraz, co oznacza, że facet nie jest byle kim. Babka żałuje nieco, że obraz nie jest pomarańczowy, bo w tym roku w ich letnim domu króluje właśnie ten kolor. Mówi to takim tonem, jakby miała ochotę oburzyć się również o to, że lody nie są bardziej jak ogórki, a klamka jak opera, i że świat jest tak bezczelny, że nie chce się dopasować do wszystkich jej życzeń.

- Charles, może jednak moglibyśmy oprawić go w pomarańczową ramę? - proponuje.

Facet nie odpowiada, bo usta ma pełne maleńkich kanapeczek.

Louisa nienawidzi ich wszystkich. Inwestujących mężczyzn i fotografujących kobiet, babki, która chce urządzić letni dom, i przeżuwającego faceta. Boże, jak ona ich nienawidzi. Warto to zaznaczyć, bo inaczej trudno zrozumieć, co jeden obraz może zrobić z człowiekiem.

W plecaku, poza puszkami ze sprejem, Louisa ma jeszcze paszport i starą widokówkę, na której niezdarne napisano: „Jest tu przepięknie, słońce świeci każdego dnia. Tęsknię za tobą. Do zobaczenia wkrótce. / Mama”. To również warto dodać, żeby zrozumieć, że gdy Louisie udaje się przedrzczyć przez cały tłum i w końcu stanąć przy aksamitnej taśmie przed obrazem, który według pozostałych przedstawia morze, to nie znajduje się już ona w dawnym kościele. Nie jest sama. Już się nie wkurza, nawet na swoją kumpelkę Rybkę, której tak dobrze szło włamywanie się do różnych miejsc, ale wydostawanie się z nich – o wiele gorzej.

Któregoś razu w środku nocy Rybka i Louisa włamały się do studia tatuażu i nawzajem się wytatuowały. Louisa narysowała na ramieniu kumpelki serce, najpiękniejsze, jakie Rybka kiedykolwiek widziała. Potem Rybka wykonała tatuaż na przedramieniu Louisy, ale niesamowicie brzydki, wręcz ohydny, bo Rybka była najlepsza niemal we wszystkim, jednak akurat rysowanie szło jej słabo. Tatuaż przedstawiał jednorękiego faceta na drzewie. Louisie nigdy żaden obrazek nie podobał się bardziej. Pierwszego dnia, gdy się poznały, w domu zastępczym, w którym wszyscy bali się zmrużyć oko, Rybka całą noc szeptała jej do ucha dowcipy. Jej ulubionym był: „Wiesz, jak ściągnąć z drzewa jednorękiego faceta? Pomachać do niego”.

Nikt nie potrafił się śmiać z własnych dowcipów tak jak ona, Louisa nie znała milszego dla ucha dźwięku ani lepszego człowieka.

Czasem nocą Rybka włamywała się do budek z lodami, bo naprawdę niewiele rzeczy lubiła bardziej niż lody, ale jeszcze częściej do sklepów malarskich, bo Louisie kończyły się puszki ze sprejem. Raz włamała się nawet do sklepu z narzędziami, bo potrzebowały śrubokrętów, a już ze sto razy zakradła się na tyły kin, by mogły cichaczem wślizgnąć się na ostatnie seanse filmowe. Niewiele rzeczy bowiem Louisa lubiła bardziej od filmów.

W domu zastępczym siedemnastolatki spały obok siebie prawie każdej nocy, w poplamionych lodami koszulkach i z płucami przepełnionymi wzajemnym śmiechem. W rękach trzymały po śru-

bokręcie, a drzwi do pokoju blokowały komodą, na wypadek gdyby ktoś próbował się dostać do środka. Gdy człowiek dorasta bez rodziców, przyzwyczajają się do wielu dziwnych rzeczy, do tego, że ma się tę jedną jedyną osobę do kochania i że potem nie da się już bez niej żyć.

Louisa odczuwała ból, ale Rybka czuła go jeszcze bardziej. Louisa nienawidziła otaczającej ich rzeczywistości, ale Rybka nie mogła w niej wytrzymać. Louisa kilka razy spróbowała narkotyków, ale Rybka nie mogła przestać ich brać. Louisa nadal miała siedemnaście lat, ale Rybka skończyła już osiemnaście i nie mogła dłużej zostać w domu zastępczym. Rybka obiecała Louisie, że wszystko będzie dobrze, ale Louisa była jej jedynym dobrym człowiekiem i po wielu nocach spędzonych osobno Rybka znalazła dla siebie inny rodzaj ludzi. Uciekła od rzeczywistości, na dno butelki, w mgłę. Dorosłym zawsze się wydaje, że mogą chronić dzieci, zakazując im odwiedzania niebezpiecznych miejsc. Wszystkie nastolatki wiedzą jednak, że to nie ma sensu, bo najniebezpieczniejsze miejsce na świecie jest w nas samych. Delikatne serca pękają równie łatwo w pałacach, jak i w ciemnych zaułkach.

Od trzech tygodni Louisa była na świecie całkiem sama. Dorosli skłamali, mówiąc, że Rybka odebrała sobie życie. To nieprawda. Żaden dorosły nie tęsknił za Rybką, wychowywała się przecież bez rodziców w dziesięciu różnych domach zastępczych. W takich sytuacjach łatwo powiedzieć, że po prostu przedawkowała narkotyki. Louisa zna jednak prawdę: Rybkę zamordowała rzeczywistość. Uduśliła ją klaustrofobia, uwiązanie na tej planecie, umarła z ciągłego smutku.

Trzeba to wszystko wiedzieć o Louisie, w przeciwnym wypadku nie sposób zrozumieć, co może sprawić jeden obraz. Że serce bije z taką prędkością, o jakiej nie pamięta już nikt, kto nie jest młody. Że istnieje sztuka, dzięki której nastolatka czuje się za duża w swoim ciele. Szczęście tak ogromne, że wręcz nie można z nim wytrzymać, dusza niemalże próbuje się przekopać przez szkielet. Można zobaczyć obraz i przez jedną sekundę życia, podczas jednego wdechu,

zapomnieć o strachu. Jeśli się to przeżyło, to już wiadomo, jak to jest. Jeśli nie, nie da się tego wytłumaczyć.

Ten obraz nie jest o morzu. Tylko cholerny dorosły może tak myśleć.

Babka jeszcze nie zauważyła Louisy. Taki właśnie był plan, bo jak na wysoką osobę Louisa jest też zaskakująco dobra w byciu niezauważaną. Tajemny trik, który niezwykle się tu przydaje, to poczucie, że nic dla nikogo nie znaczy. Jest bezwartościowa.

Babka, która samą siebie uważa za bardzo ważną, a przez to bardzo widoczną, ma teraz inne rzeczy na głowie. Właśnie dostrzegła grupę dyskutującą o inwestycjach i od razu rzuca do męża kąśliwą uwagę:

– Patrz, Charles! Teraz najwyraźniej wpuszczają tu już byle kogo! Nawet tych nowobogackich niewykształconych wieśniaków. Tylko spójrz na nich! Zero gustu, zero stylu!

Słowo „nowobogaccy” wypowiada z niesmakiem, jakby był to jakiś straszliwy wirus, bo kobiety takie jak ona lubią wpływ czasu, antyczne meble, leżakujące wino i stare pieniądze. Nowe mogą być najwyższej sportowe samochody i stawy biodrowe. Im bogatsze stają się kobiety takie jak ona, tym mniej rzeczy już lubią, aż w końcu są już tak bogate, że brzydą im nawet inni bogacze, i to w sumie jedyne, za co Louisa mogłaby je chociaż trochę polubić.

Babka patrzy z oburzeniem na męża.

– Charles, słuchasz mnie w ogóle?

– Tak, tak, kochanie – mamrocze mężczyzna. – Słyszę cię. Kupimy *Ten tam z morzem*. Jak się nazywał ten malarz? C. Jat? Co to za dziwaczne nazwisko? Myślisz, że mają gdzieś więcej tych kanapeczek?

Nikt nie widzi Louisy otwierającej plecak pełen puszek ze sprejem. Nikt nie zauważa, że dziewczyna przemyka pod taśmą i staje

zaraz obok obrazu. Nigdy nie będzie potrafiła wyjaśnić, co czuła, patrząc na niego. Przychodzi jej na myśl, że może tak czują się ludzie, którzy właśnie zostali rodzicami. Że brakuje im słów. „Tęsknię za tobą. Widzimy się niedługo. / Mama”. Słowa zapisane na widokówce w plecaku. Louisa sięga do środka.

– Ej tam! Co ty wyprawiasz? Nie wolno podchodzić tak blisko obrazu! – wrzeszczy za nią nagle jakiś głos.

To ta babka. Brzmi, jakby była strasznie wkurzona, ale jej twarz jest tak naciągnięta, że policzki zaczynają się za uszami, trudno więc dokładnie stwierdzić, co tak naprawdę czuje. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że rozpiętość jej uczuć jest na poziomie abażura.

To właśnie w tym momencie Louisa przestaje działać zgodnie z planem. To nie wina samego planu, czasami po prostu niezmiernie trudno pomieścić w jednym mózgu geniuszkę i niegeniuszkę. Louisa ze łzami w oczach odwraca się do tej babki i syczy:

– Ten obraz nie jest o morzu!

Babka odskakuje dwa kroki i wbija w nią wzrok, tak jakby zaatakował ją jakiś mebel. Czyżby właśnie coś do niej powiedział?

– Czy ty już... czy ty... natychmiast odsuń się od tego obrazu! – rozkazuje, prawie mdlejąc z oburzenia.

Louisa nie rusza się jednak z miejsca. Mruga jedynie, starając się ukryć łzy.

– Ten obraz nie jest o morzu – szepcze. – Ty nowobogacka, niewykształcona wieśniaro.

Słyszając to, babka wpada w taki szał, że prawie się dusi. Gwałtownie szarpie męża za ramię. Kanapeczka, którą ten właśnie zajadał, staje mu w gardle i męzczyzna zaczyna się krztusić.

– Chaaaaarles! – wyje babka.

Mąż odchrząkuje, wypluwając przy tym kawałki chleba na jej diamenty. Potem wymierza palcem prosto w białą koszulę Louisy, święcie przekonany, że jego palec strzela salwami ognia, siejąc postrach w całej okolicy.

- Ty tam! Nie ruszaj się! – rozkazuje. – Gdzie jest twój przełożony?

Ku jego przerażeniu okazuje się jednak, że Louisa nie jest przyciskiem w windzie i wcale się nie boi wymierzonych w nią palców.

- Ja tu nie pracuję – odpowiada cicho i ponownie sięga do plecaka.

W końcu znajduje to, czego szukała. Czerwony długopis.

- W takim razie zaraz powiem wszystkim twoim RODZICOM! – rzuca z lekkim obrzydzeniem mężczyzna, rozglądając się, jak sam pewnie zakłada, za dwójką szympanów trzymających w łapach odwróconą do góry nogami ulotkę o środkach antykoncepcyjnych.

Dopiero teraz kobieta dostrzega plecak Louisy i nagle dociera do niej, co się zaraz wydarzy. Przecież dokładnie wie, co oznaczają młodzi ludzie i plecaki.

- Charles! Ona ma w plecaku sprej! To pewnie jakaś a k t y w i s t k a! Zawołaj strażnika! Charles, ona zaraz zniszczy ten obraz!

- Mówi to baba, która chce go zawiesić w swojej okropnej letniej posiadłości... – odburkuje Louisa, po czym odwraca się i na ścianie zaraz obok obrazu rysuje cienkopisem maleńką rybkę.

Nie taki był plan. Właściwie chciała mu się jedynie przyjrzeć. Miała nadzieję, że to wystarczy. To nie wina mózgu, że nagle coś w klatce piersiowej Louisy pragnie, by obraz w jakiś sposób wiedział, że tu jest. Ona i Rybka. Głupie, głupie serce.

Babka podnosi raban, a jej mąż biegnie po strażnika. Louisie przychodzi do głowy, że to jednak miłe z jego strony. Że uznał, że Louisa ma rodziców.

„Widzimy się niedługo. / Mama” – napisano na widokówce w plecaku. Na jej drugiej stronie widnieje słynny obraz C. Jata. Odkąd sięga pamięcią, Louisa marzyła, żeby zobaczyć go na żywo, wciąż powtarzała Rybce, że któregoś dnia staną tu razem. Ale teraz? Nawet nie potrafi wyjaśnić uczucia, które ją przepełnia. Czasem, gdy zakradały się do

kin, oglądały filmy, w których kobiety próbowały opowiedzieć, jak to jest być matką. Zawsze wyglądały wtedy na przytłoczone i brakowało im słów. Jak to jest być matką? To niewidzialna fala, która uderza z taką siłą, że tracisz oddech i nigdy już tak do końca go nie odzyskujesz – powiedziała jedna z nich. Żyjesz z ciągłą zadyszka, dodała druga, bo ta miłość ściska twoje płuca tak mocno, że ledwie możesz oddychać. Wszyscy uważają, że wyglądasz tak samo jak wcześniej, ale ty nic już nie rozumiesz – mówi kolejna. Dla ciebie istnieje wyraźna granica między tym, co przed zostaniem matką, a tym, co po nim. Całkiem nowa ty.

Tak właśnie czuje się teraz Louisa, patrząc na obraz. To jednak całkiem miłe ze strony tamtej babki, że sądziła, iż Louisa miała w planach go zniszczyć. Tak jakby dało się ją powstrzymać.

„Droga paniusiu – pomyślała Louisa – gdybym chciała zniszczyć ten obraz, z całego tego budynku zostałyby już tylko pył. Jestem przecież mistrzynią świata w niszczeniu rzeczy, droga paniusiu. Wszyscy, których kocham, umierają”.

Strażnik przybiega pędem, a raczej tocząc się. Sto pięćdziesiąt kilo cielska z maciupenką wkurzoną głową na szczycie. Louisa zaciska w dłoni czerwony długopis.

Nienawidzi, gdy dorośli jej dotykają, tak to już jest, gdy jeszcze nigdy nie spotkało się dorosłego, któremu można ufać. Jej ojciec zniknął, zanim się urodziła, nie chciał być ojcem, ale Louise zawsze ciekawiło, czy jej mama chciała być matką chociaż przez chwilę. Czy poczuła uderzającą w nią falę po urodzeniu Louisy. „Tęsknię za tobą” – napisano koślawo na widokówce. Jedyne, co Louisa pamiętała, to jej głos, gdy śpiewała kołysankę. Przyjechały z innego kraju, Louisa nic sobie z tamtego czasu nie przypomina, nie wie, co zostawiły za sobą, nie mogło to jednak być nic dobrego, skoro miejsce, w którym wylądowały, było lepsze. Któregoś dnia matka zostawiła pięcioletnią Louise u sąsiadów, zamknęła za sobą drzwi i już nigdy nie wróciła. Policja szukała jej przez kilka miesięcy, ale matka doskonale

wiedziała, jak pozostać niewidzialną, i to chyba jedyne, co córka po niej odziedziczyła. Czas to przedziwny koncept, gdy ktoś cię porzuca. Jeśli twój rodzic zostawia cię, gdy masz pięć lat, nie dzieje się to jednego konkretnego dnia, tylko codziennie. I nigdy się nie kończy. Louisa dorastała w domach zastępczych, ale znała jedynie język ojczysty matki. Próbowwała imitować to, co mówią inne dzieci, lecz te tylko ją wyśmiewały. Albo gorzej. Bardzo długo prawie się więc nie odzywała. Pamiętała, że w domach zastępczych trudno się zasypiało. Rzeczy często lądowały w nich na ścianach, czasem były to talerze, a czasem szklanki. Nierzadko też ludzie. Czasem ktoś inny, a czasem ona sama. W żadnym z tych miejsc nie została na dłużej, wiele razy musiała się przeprowadzać, niektóre z domów zastępczych były pełne chaosu, niektóre nieprzyjemne, a część z nich niebezpieczna. Tylko jeden był ładny.

Louisa miała wtedy może sześć albo siedem lat. Ten dom zastępczy był tak samo pełen krzyczących ludzi i cichych strachów jak wszystkie inne, ale w kuchni, w rogu, stała lodówka, na której ktoś zawiesił widokówki przedstawiające znane obrazy. To było jej niebo. Nie wiedziała, kto je kupił ani tam zostawił, ale może był to ktoś taki jak ona, kto przeszedł przez ten dom i chciał pokazać dzieciom, które przyszły po nim, że gdzieś tam istnieje jeszcze inny świat. Sztuka to empatia.

Jedna z widokówek przedstawiała obraz z morzem, który nie był obrazem z morzem. To pierwsza rzecz, którą Louisa kiedykolwiek ukradła, pierwsza naprawdę piękna, której dotknęła. Pewnego dnia kilka lat później trafiła do domu, w którym ktoś się śmiał. To była Rybka. Natychmiast się odnalazły. Nocami spały tak blisko siebie, ze śrubokrętami w dłoniach, że gdy Louisa budziła się niespodziewanie i czuła bicie serca w klatce piersiowej, nie mogła odróżnić, czy to jej własne, czy Rybki. Rybka nauczyła ją rozumieć wszystkie języki, którymi mówiły pozostałe dzieci w domu, głównie przekleństwa, bo jeśli o nie chodzi, Rybka była prawdziwą obywatelką świata. Ale dopiero gdy zaczęły się zakradać do kin, Louisa nauczyła się mówić po angielsku jak amerykańskie gwiazdy filmowe. Wieczorami leżała

obok Rybki, szepcząc jej do ucha całe dialogi z romansów z wielkich ekranów. Nadal jednak istniały słowa, których nie potrafiła się nauczyć.

Pewnego dnia do domu zastępczego przyszedł policjant i powiedział, że znaleziono mamę Louisy.

Mózg dziecka jest tak uparty, wszystko tłumaczy sobie na swój własny sposób. Louisa zawsze o tym marzyła, ale słowa policjanta były niejasne. Nic nie zrozumiała, Rybka musiała jej wszystko wyjaśnić. „Powiadomić krewnych” oznaczało, że przekazywano informację tym, którym zależało. Tak więc to Louisa była krewną. „Denatka” to inaczej zmarła. A „uzależnienie” wskazywało, że matka zapiła się na śmierć. Utopiła się od środka. Mózg dziecka jest tak kreatywny, że Louisa, usłyszawszy to wszystko, wyrosła na osobę, która nie obawiała się alkoholu, ale za to okropnie bała się pływać.

Następnego razu w kinie oglądały naprawdę stary film, bo Rybka wiedziała, że takie Louisa lubi najbardziej. Główną rolę grała w nim znana śpiewaczka. W jednej ze scen śpiewała dziecku kołysankę, którą Louisa natychmiast rozpoznała. To ten głos pamiętała z dzieciństwa, nie matki. Ta zostawiała pięciolatkę samą przed telewizorem tak często, że Louisa nie rozróżniała już, który głos należał do matki, a który pochodził ze starych filmów. Rozpłakała się, gdy dotarło do niej, że nie ma już żadnych wspomnień, ale siedząca obok Rybka powiedziała:

– Walić to! Dlaczego niby to twój głupi mózg ma decydować o tym, co się wydarzyło, a co nie? Tak czy siak, możesz zachować te wspomnienia, one są twoje!

Louisa właśnie tak zrobiła. Wyobraźnia to jedyna broń dziecka. Na widokówce z obrazem napisała taką wiadomość, o jakiej marzyła, tak jakby ktoś za nią tęsknił i ją kochał. „Widzimy się niedługo. / Mama”. Wsunęła ją do plecaka z myślą o tym, że któregoś dnia razem z Rybką zobaczą ten obraz na żywo. I będzie tak jak wtedy, gdy superbohaterowie odkrywają swoje supermoce. Louisa dotrze nad morze i przestanie się bać pływać. Że będzie jak w bajkach i w jakiś magiczny sposób wszystko skończy się pomyślnie.

Tak nie będzie.

Ale właśnie w ten sposób zaczyna się jej historia.

A więc Louisa zostaje wyrzucona. W sumie nieczęsto się to teraz zdarza, większość „wyrzuconych” tak naprawdę zostaje wyprowadzona lub ewentualnie wytargana. Ale Louisa nie jest taka jak inni, więc opuszcza kościół w powietrzu.

Chwilę przed samym wyrzuceniem maluje strażnika, co nie oznacza, że maluje jego postać na ścianie, ale że maluje po samym strażniku. Niestety strażnik nie należy raczej do osób, które doceniają głębię tego typu symboliki. Rozwścieczony niczym dzik, któremu zamiast czopków podano ostrą papryczkę habanero, chwyta Louisę tak mocno, że ta zaczyna krzyczeć. Zaraz potem krzyczy też sam strażnik.

Louisa naprawdę, ale to naprawdę nie lubi, gdy dotykają jej do rośli, wpada więc w panikę i właśnie wtedy maluje strażnika. Na jej obronę można przyjąć, że jest to samoobrona, bo jedyne, czym dysponuje, to długopis, którym rysowała po ścianie i który wbija w przedramię mężczyzny. Strażnik wydaje z siebie imponujący krzyk, coś pomiędzy pięciolatkiem, który spadł z huśtawki, a śpiewaczką operową, która znalazła w samochodzie węża. Najwyraźniej nie docenia również ironii całej sytuacji, w której czerwony długopis ląduje na jego przedramieniu wytatuowanym typowymi dla osiłków szpanerskimi tekstami i wygląda to tak, jakby poirytowany nauczyciel angielskiego nagle zauważył, że któryś z wyrazów zapisano z błędem. Strażnik, sto pięćdziesiąt kilo wagi bez ani grama poczucia humoru, próbuje chwycić Louisę. Dziewczyna odskakuje i sięga po pierwszą rzecz, jaką udaje jej się znaleźć w plecaku: puszkę ze sprejem. Okazuje się, że sprej jest biały, a strażnik ubrany na czarno, więc gdy Louisa maluje go od góry do dołu, mężczyzna zaczyna przypominać wkurzoną autostradę.

Mężczyzna zaciska dłonie na jej ramionach i unosi ją wraz z plecakiem tak gwałtownie, że Louisa ma wrażenie, iż kości obojczyka pękają niczym zapałki. Nie to przeraża ją jednak najbardziej. Wpada w panikę dopiero, gdy strażnik wrzeszczy na całe gardło do swojego kolegi: DZWOŃ NA POLICJĘ. Tej Louisa boi się o wiele bardziej niż przemocy, dlatego też gdy mężczyzna niesie ją w kierunku wyjścia, dziewczyna robi to, co każdy racjonalnie myślący człowiek zrobiłby w tej sytuacji. Gryzie go w ucho.

Znajdują się już prawie przy drzwiach. Strażnik wyje z bólu, sto pięćdziesiąt kilo jazgotu. Rzuca Louisą i plecakiem z taką siłą, że dziewczyna przelatuje przez próg, jak gdyby budynek wypluł właśnie pestkę arbuza.

Ostatnie, co słyszy Louisa, to dobiegający ze środka krzyk babki:

– Widzieliście to? Próbowала zniszczyć obraz! Wiedziałam, jak tylko zobaczyłam ten plecak. To jedna z tych a k t y w i s t e k! Co tylko niszczą! Małe przebrzydłe karaluchy!

Ostatnie, co Louisa wyrzuca z siebie, to:

– To nie jest obraz o MORZU, ty głupia...

Na końcu języka ma jeszcze kilka solidnych obelg, ale niestety w tym samym momencie ląduje na chodniku i na chwilę traci oddech. Przeszywa ją ból, ale teraz nie ma czasu, żeby się nad tym zbyt długo zastanawiać, bo strażnik już za nią biegnie. Sto pięćdziesiąt kilo minus pół ucha.

– Dzwon na policję! – wrzeszczy ponownie do swojego kolegi, więc Louisa łapie plecak z ziemi i rzuca się do ucieczki.

Strażnik pędzi za nią, ale oczywiście nie ma żadnych szans, to przecież dorosły facet, a oni nie mają pojęcia, jak się biegnie. Na świecie nie ma zbyt wielu rzeczy, których muszą się bać dorośli mężczyźni. Nastolatki natomiast muszą się bać wszystkiego.

Louisa biegnie wzdłuż muru starego kościoła, aż do końca chodnika, a potem szybko skręca w prawo, za róg. Jej myśli wracają do morza. Zawsze tak jest, gdy się boi, czyli prawie zawsze. Może to dziwne, zwłaszcza jeśli ma się siedemnaście lat i nie potrafi się pły-

wać. I w sumie nigdy nie wyjechało się z tego miasta, które właściwie sprawia wrażenie, jakby znajdowało się raczej w kosmosie niż w pobliżu morza. Louisa nigdy nawet nie widziała morza. Ale zapamiętała każdy centymetr niebieskiego na tym obrazie. To jest szczęśliwe miejsce.

Widokówka leży w plecaku, ale Louisa już jej nie potrzebuje, bo nigdy nie zapomni, co czuła, gdy zobaczyła obraz na żywo, bo to, co wszystkie te pomarszczone stare baby uważają za obraz z wodą, w rzeczywistości przedstawia molo. Skrywa się ono nieco w rogu, niczym betonowy język pod osłoną nieba. Na jego końcu siedzi trzech nastolatków. Tak małych, że prawie nikt nie zwraca na nich uwagi. Artysta nazwał obraz *Ten z morzem*, więc wszyscy szukają na nim morza, chłopcy na środku pozostają niezauważeni. Kto potrafi tak malować? Kto potrafi pozbawić powietrza w płucach zwykłą osobę, która przygląda się wiszącemu na ścianie obrazowi? Kto potrafi sprawić, że czujesz zapach morskiej wody i płaczesz nad jakimś dzieciństwem?

Louisa nigdy nie spotkała tych chłopców, ale to jej ludzie, jedyni, którzy jej pozostali. Na obrazie mają po czternaście lat, może piętnaście, nie są już dziećmi, ale jeszcze nie dorosłymi. Artysta namalował ich w taki sposób, jakby przyglądał im się intensywnie i śnił o nich tak pięknie, że aż nauczył się szeptać kolorami. Sam już pokiereszowany w środku, inaczej przecież nie trzymałby pędzla w dłoni tak delikatnie, nikt nie potrafi tak namalować przyjaźni, jeśli nie był wcześniej naprawdę samotnym dzieckiem. To idealny letni dzień, siedzą blisko, bardzo blisko siebie i jeśli naprawdę dobrze się przypatrzeć, można zauważyć, że lekko się ruszają. Wibrują od chichotu, tak jakby jeden z nich puścił właśnie solidnego bąka.

Tego nie rozumieją te bezużyteczne bogate dziadki ze starego kościoła, bo życie nie boli ich wystarczająco mocno. Przechadzają się po wystawie, syci, rozpieszczeni i zadowoleni z tego, jak działa ten świat, i dlatego też uważają, że obraz przedstawia morze. A przecież każdy idiota potrafi namalować morze – nawet z a d o w o l o n y idiota! Jednak ten obraz przedstawia śmiech, i zrozumie to dopiero ten, kto ma w sobie pełno dziur, bo wtedy każdy chichot to prawdziwy skarb.

Dorośli nigdy tego nie pojmą, bo już nie zaśmiewają się z bąków. I jak tu wierzyć osądowi takich właśnie ludzi, jeśli chodzi o sztukę? Nigdy w życiu nie uwielbiali czegoś tak bardzo, by zaryzykować burę od strażnika tylko po to, żeby chociaż raz w życiu to zobaczyć.

Twarz Louisy jest zimna od łez, ale ona cała płonie. Na dole w rogu obrazu widziała podpis artysty, a obok małeńkie czaszki. Nigdy by ich nie zauważyła, gdyby nie podeszła tak blisko, ten jeden raz w życiu. Żaden strażnik nie wybije jej już tego z pamięci, nawet gdyby próbował, bo teraz Louisa ma już takie czaszki w całym sercu.

Skręca za kolejny róg i trafia na tyły starego kościoła, z którego właśnie ją wyrzucono. Ścigający ją strażnik nigdy nie wpadnie na to, by jej tu szukać. Jest na to za głupi. To w sumie perfekcyjny plan. Naprawdę nieźła z niej geniuszka. Może poza jednym małym szczegółem. Obok kosza na śmieci stoi bezdomny, którego nie zauważyła i w którego po chwili uderza w pełnym pędzie. Upada jak długa i prawie traci przytomność.

No więc tak. Może nie tak do końca perfekcyjny plan.

Dwadzieścia pięć lat temu, w całkiem innym dzieciństwie, było sobie wielkie morze. Świeciło słońce, wakacje trwały całą wieczność, a w niekończącej się niebieskiej wodzie rozciągało się molo. Na jego końcu siedzieli najlepszego rodzaju ludzie. Mieli po czternaście lat, prawie piętnaście, i nie żeby się chwalić, ale Louisa miała rację: to był naprawdę wyjątkowy bąk. Puścił go jeden z chłopców, a pozostali ze śmiechu prawie pospadali z mola. Właśnie tę chwilę uwieczniono na obrazie.

Nigdy nie zapomina się ludzi, którzy sprawiali, że wybuchało się takim śmiechem, a jeśli się ich nie miało, żadne słowa tego nie wyjaśnią. Albo czuło się zapach wyjątkowych bąków, albo ćwierć wieku później jest się takim właśnie dorosłym, przechadzającym się podczas aukcji w przekonaniu, że ma się do czynienia z obrazem o morzu tylko dlatego, że nosi tytuł *Ten z morzem*. Dorośli naprawdę nie są zbyt mądrzy.

A ci nastolatkowie? Zanim trafili na obraz, istnieli tylko dla siebie. Wakacje na molu przed dwudziestoma pięcioma laty zdawały się nie kończyć, bo przecież tak właśnie przeżywa się każde lato w tym wieku. Wtedy przyjaźń to prawie jak mafia: nie wolno ci jej opuścić, bo wiesz za dużo. Czternastolatkowie znają się na wylot, wszystkie najślabsze i najczulsze punkty, nie można wtedy dorastać, bo żaden dorosły nie jest w stanie dotrzymać takich tajemnic.

Jeden z nastolatków puścił bąka i wszyscy zaśmiewali się do rozpuku. Już kilka takich letnich dni to prawdziwe szczęście, a jeśli do tego trafi się chociaż jeden taki przyjaciel, można już mówić o nie-

prawdopodobnym wręcz łucie szczęścia. Molo było tak nagrzane słońcem, że czternastolatki musieli usiąść na plecach, żeby nie poparzyć sobie pośladków, a jeśli nawet pojawił się jakiś podmuch wiatru, chłodził słabiej niż suszarka do włosów w krematorium. Pocieli się tak bardzo, że podczas ich kąpieli morze stawało się jeszcze bardziej słone. Było im tak gorąco, że gdyby oparzyli się papierosem, to właśnie papieros krzyknęłyby z bólu. I wciąż się śmiali, Boże drogi, ileż oni się śmiali, takie to właśnie było lato. Ich ostatnie wspólne.

Na początku oczywiście nikt nie zakładał żadnego obrazu. Ani tego, że cała masa obcych ludzi zobaczy sygnaturę na samym dole, C. Jat, i czaszki zaraz obok. Nikt, naprawdę nikt się nie spodziewał, że pewnego dnia ten bąk stanie się sławny na całym świecie, ani że wiele, wiele lat później na aukcji obraz osiągnie tak zawrotną cenę, że nawet bogate babki uniosłyby nieco brew, gdyby ich twarze miały w sobie chociaż jeden wciąż działający mięsień. Nikt przecież nie przypuszczał, że z tych dzieciaków na molu cokolwiek wyrosnie. Urodziły się biedne i biedne miały umrzeć, bo tak właśnie działa ten świat. Były się w szkole i dostawały manto w domu, doskonale rozpoznawały dźwięk klucza przekręcanego w zamku przez ojca, który wrócił do domu pijany i groźny, żyły w przekonaniu, że są głupie i bezużyteczne, bo to właśnie słyszały każdego dnia, gdy były dziećmi.

A w tamte wakacje przed dwudziestoma pięcioma laty? Zobaczyły śmierć, uciekały przed oprawcami i zostały pobite, doświadczyły więcej przemocy niż ci zgromadzeni na aukcji ćwierć wieku później przez całe swoje życie. Takie dzieciństwo nie wróży żadnej przyszłości, a już na pewno nie pozycji uznanego na całym świecie artysty. Na przekór wszystkiemu jeden z nastolatków właśnie nim zostanie. Urodził się w miejscu tak brzydkim, kryjąc w sobie coś tak pięknego, że można pomyśleć, iż to wręcz akt buntu. W świecie przepełnionym młotami jego sztuka jawiła się niczym deklaracja wojny.

Któregoś dnia, gdy siedzieli na molu, jeden z nastolatków, chłopiec o imieniu Joar, pochylił się nad jego szkicownikiem i szepnęła tak, jakby mówił o czarach:

- Kto umie tak, kurde, rysować, że wiadomo, co to przedstawia?
Jesteś jakimś kosmitą!

Było to najbliższe temu, co Joar tak naprawdę chciał powiedzieć:
„Kocham cię. I mam nadzieję, że to wiesz”.

- Dziękuję - odparł artysta.

Bo było to najbliższe temu, co tak naprawdę chciał powiedzieć
Joarowi. „Też cię kocham. I nie umiem bez ciebie żyć”.

To właśnie Joar znalazł konkurs, od którego wszystko się zaczęło.
Jego mama przynosiła do domu gazety ze świetlicy domu opieki,
w którym pracowała. Pod koniec miesiąca zdarzało się bowiem, że
stary Joara musiał wybierać pomiędzy kupnem alkoholu a papieru
toaletowego, i wtedy dobrze było mieć w domu dodatkowe gazety.
Pierwszego dnia wakacji, zanim Joar podtarł się kawałkiem gazy-
ty, zdążył jeszcze przeczytać na nim o konkursie. I to wszystko zmie-
niło. Następnego dnia na molu wyjaśniał już jego zasady, co wcale
nie należało do najłatwiejszych rzeczy na świecie, bo otaczali go
kompletni idioci.

- To jest, kurde, taki konkurs dla młodych artystów, i każdy tam,
kurde, może przesłać swój obraz, i ten najlepszy zawieszą, kurde,
w muzeum! - tłumaczył już po raz siódmy, a może nawet ósmy. -
Czaicie, o co chodzi?

Jego przyjaciele doskonale czaili, ale czasem po prostu nie mogli
się powstrzymać i udawali kompletnych idiotów, żeby tylko popa-
trzeć, jak Joar się złości.

- Ale... malować, niby co? - zapytał jeden z nich.

- No, przecież, kurde, co chcesz! Nawet jakąś cholerną łódkę! -
jęknął zniecierpliwiony Joar.

- Ale... my nie mamy łodzi - usłyszał w odpowiedzi.

- Przecież nie mamy POMALOWAĆ łodzi, baranie! Tylko namalo-
wać łódź na... płótnie! Czy jak to się nazywa! - syknął Joar.

Przyjaciel udał, że rozumie, o co mu chodzi, jednak chwilę póź-
niej rzucił:

- Ale ja niezbyt umiem malować łodzie.

– Przecież to nie TY masz malować... – westchnął Joar i dopiero wtedy zauważył, że przyjaciele chichoczą. – Idioci, wszyscy jesteście idiotami.

Pierwszy ucichł artysta, jego radość nigdy nie trwała długo, jego skóra była zbyt cienka, by trzymać świat na zewnątrz. Zaczął się drapać, jak zwykle, gdy czuł się niepewnie.

– Nie możemy tego po prostu odpuścić? – szepnął. – Joar, proszę cię. Nie potrafię malować tak, jak tego chcą w takich konkursach, to dla ludzi z pieniędzmi, ja nie potrafię...

Joar przerwał mu zniecierpliwiony:

– Jak to nie potrafisz? Nie gadaj! Jesteś milion razy lepszy niż te bogate smarki, musisz im to tylko pokazać. Namaluj, kurde, co ci tam pasuje. Namaluj morze!

Zabrzmiało to ostro, ale Joar powiedział to wszystko z troski. Po prostu nikt nigdy nie nauczył go, jak ubrać tę troskę w odpowiednie słowa. Nie chciał udowodniać światu, jak utalentowany jest artysta, chciał to udowodnić samemu artyście. Joar znał się na silnikach, zawsze potrafił dostrzec, co się w nich zepsuło. W ludziach natomiast pełno jest rzeczy niewidocznych dla oka. Psujemy się niezauważeni przez innych. Nie wiedząc, jak powiedzieć przyjacielowi, że go kocha, ryknął:

– Po prostu coś namaluj! I wygraj, kurde, ten konkurs!

– To tak nie działa – szepnął artysta. Nie potrafił bowiem wyjaśnić, dlaczego nie może oddychać, nie umiał znaleźć słów, by wytłumaczyć, dlaczego tego lata chodził smutny.

Drapał się nieustannie, rzucając wzrokiem na boki. Trzeci z chłopców to zauważył i robił, co mógł, by odwrócić jego uwagę.

– Namalować morze? To trudne – powiedział i tym razem naprawdę nie mieli pewności, czy tylko zgrywał głupka, czy naprawdę nim był.

– Co w tym niby, kurde, trudnego? Przecież to tylko JEDEN kolor! – powiedział Joar.

– Ale morze jest takie... wielkie. Będziemy potrzebowali strasznie dużo papieru – odparł przyjaciel.

Minęła dłuższa chwila, zanim jeden z nich zaczął chichotać, zaraz potem zaśmiewali się już wszyscy. Nawet artysta. Joar nie mógł się już dłużej złościć. I tak właśnie zaczęło się to najlepsze.

Przez resztę dnia rzucali w siebie kamykami, opowiadali dowcipy i kąpali się w morzu. Ze wszystkiego, co artysta namalował w całym swoim życiu, najtrudniejszy był Joar, nie dało się go namalować takim, jakim się go czuło. Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, Joar rzucił poirytowanym tonem:

– Musisz się wyrwać z tego cholernego miasta.

– Nie mów tak – poprosił artysta.

Wtedy Joar się wściekł:

– Dlaczego nie? My mamy już przewalone, zostaniemy w tym pieprzonym mieście całe pieprzone życie. Ale ty nie, rozumiesz? Bo jesteś, kurde, znanym na całym świecie artystą! Tyle tylko, że świat jeszcze o tym nie wie! Nie zapomnij o tym, gdy ci wszyscy popaprańcy już cię poznają. Że to my pierwsi wiedzieliśmy, że jesteś sławny!

Nie żeby się chwalić, ale chłopak miał rację.

Leżeli potem na molu, popijając tanią oranżadę, i całkiem za darmo oglądali zachód słońca. Lato nadal trwało. W ostatnich promieniach światła znany na całym świecie artysta, który jeszcze nie był znany, uniósł nieco palce ku niebu i narysował w powietrzu czaszki.

– Myślicie, że nadal będziemy najlepszymi kumplami, gdy dorosniemy? – zapytał po chwili.

– Nie sądzę, żebyśmy wszyscy jeszcze wtedy żyli – odparł Joar spokojnym głosem.

Nie żeby się chwalić, ale tutaj chłopak też miał rację.